

## Wyspa Szczęścia (1)

Ustawodawstwo zakazujące stosowania wobec dzieci kar cielesnych pozornie służy dzieciom. W istocie, w sposób podstępny i wielopłaszczyznowy, godzi w rodzinę. Eliminuje jeden z instrumentów władzy rodzicielskiej, który - prawidłowo pojęty i stosowany - jest korzystny także dla dziecka. Ludzie z cenzusami naukowymi (psychologowie, terapeuci, pedagodzy), których nazwiska firmują nowe prawo, reprezentują postmodernistyczne podejście do nauk humanistycznych, w którym podstawą jest nowa antropologia. Odejście od fundamentalnej zasady, iż czyny powinny mieć swoje konsekwencje, by można było mówić o uczeniu się dobrych zachowań, oznacza, że znajdujemy się w obrębie pedagogiki, która została postawiona na głowie. Władza zaś urzędników nad rodziną, ingerowanie w delikatną materię wzajemnych relacji, otwarcie drzwi domów biurokracji po to, by rodziców stosujących tradycyjne metody wychowawcze doprowadzić do prokuratora, budzi najżywsze obawy, iż "walka z kłapsem" jest kolejnym zręcznym wymysłem nowomowy wysmażonej przez międzynarodowe komisje, pełne ekspertów od eliminowania prawdziwych znaczeń słów i pojęć i wpisywania w nie innej treści. W rzeczywistości chodzi o postawienie w stan oskarżenia rodziny. Prawdziwej rodziny. Warto bowiem zadać pytanie, czy przypadki maltretowania dzieci, szeroko ostatnio nagłaśniane, istotnie miały miejsce w rodzinach. Czy można nazwać rodzinami przypadkowe związki ludzi katujących własne dzieci? Nadużywanie pojęć prowadzi do karykaturalnego obrazu rzeczywistości. Otwiera drogę cynizmowi polityków i partii politycznych, zamienionych w najskuteczniejsze narzędzia wprowadzania nowej ideologii, poprawności politycznej, w cały obszar życia człowieka.



"Tymczasem ciekawscy i włóczyki zaczęli przystawać i otaczać ich kołem. - Biedny pajac - mówili niektórzy - ma słusność, że nie chce wrócić do domu! Kto wie, jak by go wygrzmocił ten brutal Dżepetto! Inni zaś dorzucali złośliwie: - Ten Dżepetto wygląda na zanego człowieka, ale to srogi tyran dla chłopców! Jeżeli zostawi się biednego pajaca w jego rękach, gotów połamać go na kawałki!" (Carlo Collodi "Pinokio").

"Nie rwij, Andziu, tego kwiatka. Róża kole, rzekła matka. Andzia mamy nie słuchała, ukłuła się i płakała".

Ten naiwny wierszyk dziecięcy przywoływany jest dziś jako przykład "dawnej", "przebrzmiałej" pedagogiki, praktykowanej przede wszystkim w domu rodzinnym, ale także w szkole. Zakładała ona ukazywanie ścisłego związku między czynem a jego następstwami. W myśl założeń wiodących we współczesnej pedagogice opartej na postmodernizmie - konieczność ukazywania tego związku przestała być aktualna. Dotknięcie raniącego - jak może się okazać, choć niekoniecznie od razu - krzewu staje się jednym z głównych "obowiązków" "nowoczesnej"

edukacji i wychowania. Koncept pod umownym hasłem: "Ależ rwij, koniecznie rwij ten kwiatek", realizuje także współczesny przemysł rozrywki i kultury przeznaczony dla dzieci, w tym ogromna część przekazu audiowizualnego (telewizja, film, reklama, gry komputerowe), którym, z racji jego wszechobecności, dziecko "oddycha". "Dotknij wszystkiego" i "posiądź wszystko" - nie martw się, że może to być dla ciebie w rezultacie szkodliwe, a nawet zgubne. Tendencja odejścia od przestroż, lekceważenie znaków ostrzegawczych, które - począwszy od starożytności - ustawiała przed dzieckiem cała przeznaczona dla niego literatura jest częścią antypedagogiki. Główni jej przedstawiciele to Amerykanie John **Dewey** i Granville Stanley **Hall**. Ich idee wzmocnione zostały przez twórców nowego kierunku w antropologii i psychologii Margaret **Mead** i Thomasa **Gordona** przekonujących, że konieczne jest wyeliminowanie w wychowaniu kar, zakazów i nakazów, by zapewnić najmłodszym pozbawione stresu i "traumatycznych przeżyć" dzieciństwo, a także Abrahama **Maslowa** i Carla **Rogersa** w Anglii, ojców psychologii humanistycznej, podkreślających wolność dziecka.

W **antypedagogice** lansuje się m.in. odejście od autorytetu dorosłego i osłabienie więzi dziecka z rodzicami, którzy przedstawiani są jako "toksyczni". Nieczuli i okrutni "z definicji", bo stosują presję psychiczną i stawiają wymagania; wnoszą w jego kształtującą się świadomość prawdy i wartości tradycyjne: wiarę w Boga, chrześcijańską moralność, szacunek dla poznawania rzeczywistości na drodze klasycznego kształcenia umysłu. Są dla proroków antypedagogiki niebezpieczni z samej tylko racji posiadania nad dzieckiem władzy rodzicielskiej, podczas gdy ono powinno być "wolne".

### *Idee mają konsekwencje*

Myśli ojców antypedagogiki nie przedstawia się dziś wystarczająco jasno, nie istnieje na ten temat publiczna debata z udziałem rodziców, nauczycieli, naukowców. Antypedagogika kwitnie na uczelniach pedagogicznych i na niezliczonych kursach podnoszenia kwalifikacji dla nauczycieli. Dzięki jej ekspansji następuje redefinicja roli szkoły. W jej duchu przeprowadzane są kolejne reformy oświaty, z których najwięcej niepokoju budzi ostatnia. "Proste gromadzenie faktów i wiedzy jest czynnością tak dalece indywidualną, że całkiem naturalnie przeobraża się ono w egoizm" - pisał J. Dewey w pracy "Szkoła i społeczeństwo" z 1899 r. "Nie ma żadnego oczywistego uzasadnienia społecznego dla zwykłego zdobywania wykształcenia - ono nie daje żadnej widocznej korzyści społecznej". I dalej: "Wprowadzenie zajęć aktywnych, studiowanie przyrody, elementarnych wiadomości o sztuce, o historii, przesunięcie przedmiotów czysto symbolicznych i formalnych na drugi plan, zmiana klimatu moralnego w szkołach... to nie są jakieś tam drobnostki. Nie pozostaje nic innego, jak zespolić wszystkie te czynniki, nadać im pełne znaczenie i dokonać tego, by te idee i wynikające z nich ideały całkowicie opanowały nasze szkolnictwo" (por. J. Dewey "The school and society", Chicago 1899, cyt. za Pascal Bernardin "Machiavel nauczycielem. Manipulacje w szkolnictwie. Reformy czy plan zniszczenia?", Wydawnictwo Antyk Marcin Dybowski 1997). Gdy patrzy się dziś chociażby na szkoły publiczne w Stanach Zjednoczonych, to istotnie, trudno oprzeć się wrażeniu, że zostały one już całkowicie opanowane przez idee Deweya. Pozostaje jeszcze wyjaśnić, czym są "przedmioty czysto symboliczne i formalne". Cechą "nowoczesnej" szkoły jest ograniczanie klasycznego nauczania, czyli kształcenia umysłu. Ogranicza się coraz bardziej dostęp do wiedzy z dziedziny historii, języka ojczystego, wyeliminowane zostało nauczanie języków starożytnych. Jak pisze francuski znawca reform oświaty, przeprowadzanych w duchu rewolucji społecznej, Pascal Bernardin: "Rola szkoły została zdefiniowana na nowo, a jej priorytetowym zadaniem nie jest już kształcenie umysłu, lecz przekazywanie nauk 'niepoznawczych' i 'przyuczanie do życia w społeczeństwie'. Zaznacza się tu ponadto wola przeobrażania wartości, postaw i zachowań uczniów (i nauczycieli). Dla urzeczywistnienia tych zamiarów stosuje się techniki manipulacji psychologicznej i prania mózgów". Szkoła "urządzona" w myśl założeń rewolucji pedagogicznej ma prowadzić przede wszystkim

"nauczanie etyczne, kulturalne, społeczne, praktyczno-życiowe, czyli w istocie swej polityczne i światopoglądowe", dodaje francuski publicysta. W innym zaś miejscu udowadnia, że nauczanie niepoznawcze prowadzi do czystej indoktrynacji, pozbawionej wszelkiej treści intelektualnej lub - w pewnych przedmiotach - już nią jest (por. P. Bernardin, op. cit.).

"Bardzo wielu ludzi żyło, zmarło i zdobyło sławę, to znaczy wycisnęło ślad na swej epoce, nigdy nie wszedłszy w bliższą zażyłość z jakimikolwiek pismami. Wiedza, do jakiej doszli ci niewykształceni ludzie, w ogólnym podsumowaniu, prawdopodobnie jest bardziej osobista, bardziej bezpośrednia, bardziej związana z ich środowiskiem i zapewne w znacznej części bardziej przydatna w życiu. (...) Niewykształceni są wolni od pewnych pokus, takich jak lektury nedorzeczne i występne. My jesteśmy być może skłonni do przypisywania nadmiernego znaczenia błyskotliwej ogłądzie i studiom niezbędnym dla jej zdobywania". Kto jest autorem tych zaskakujących słów, prawdziwej pochwały nieuctwa? Czy jakiś domorosły wiecowy mówca, wiejski mędrak, który dorwał się do mównicy w Hyde Parku i snuje swoje dziwaczne teorie ku uciesze publiczności? Nie, słowa te wyszły spod pióra twórcy pierwszego laboratorium psychologii w Stanach Zjednoczonych prof. Granville'a Stanleya Halla (cyt. za P. Bernardin, op. cit.).

Była to osobistość wpływowa, o liczącym się autorytecie naukowym. "Wywarł on znaczny wpływ na amerykańską psychologię i pedagogikę i, co ważne, był profesorem J. Deweya, amerykańskiego pedagoga u początków 'rewolucji pedagogicznej'". Z przekonań politycznych był socjalistą, który zaciekle atakował inteligencję. Z kolei o tym, jaka była pozycja J. Deweya w ówczesnym środowisku akademickim Ameryki, najlepiej świadczy fakt, iż jeden z jego studentów (Elwood P. Cubberly) został dziekanem wydziału pedagogiki w Stanford, którego z kolei słuchaczem był William C. Carr, jeden z założycieli UNESCO. Wielu uczniów Deweya utworzyło katedry nauk pedagogicznych w całym Stanach. "Stamtąd, w łączności ze swym odgałęzieniem sowieckim, ruszyli na podbój świata i instytucji międzynarodowych [odpowiedzialnych za oświatę - przyp. E.P.P.]", pisze P. Bernardin. John Dewey twierdził, że "uspołecznienie musi iść w parze z upadkiem kultury, wykształcenia i inteligencji, pojęcia 'czysto indywidualnego'. Nie można więc mieć uspołecznienia bez degradacji indywidualnego myślenia i wykształcenia". W swojej pracy "The school and society" pisał: "Teoria dziedziczenia przyzwyczała nas do pojęcia zdolności indywidualnych, tak umysłowych, jak fizycznych, dziedzictwa rasy; stanowią one kapitał, którego jednostka jest dziedzicem z przeszłości i depozytariuszem dla przyszłości. Natomiast teoria ewolucji oswoiła nas z poglądem, wedle którego duch nie może być uważany za własność indywidualną, wyłączną, lecz przedstawia sobą dojrzewanie wysiłków i dorobku myślowego ludzkości" (cyt. za P. Bernardin, op. cit.). Triumf tego rodzaju poglądów w dzisiejszej edukacji jest bezsporny. Wielki krzyk, jaki podnosi się za każdym razem, gdy stawiane są znaki zapytania przy teorii ewolucji Karola Darwina, jest tego najlepszym dowodem. "Nie dziwmy się przeto - konkluduje Bernardin - obniżeniu poziomu szkolnictwa, do którego takie idee prowadzą w sposób nieunikniony. Rozmyślnie spowodowane, ma ono zniszczyć inteligencję, 'pojęcie czysto indywidualne, antyspołeczne i reakcyjne" (por. P. Bernardin, op. cit.).

### *"Niewinni czarodzieje"*

Kształcenie w podobnym duchu - choć wychodzące z odmiennych założeń - proponował Rudolf Steiner (1861-1925), założyciel modnych obecnie w Europie tzw. szkół waldorfskich. Ksiądz Andrzej Zwoliński zwraca uwagę na to, że w szkołach tego typu nie ma ocen i sprawdzianów, co pozwala "wylimitować niezdrową rywalizację i uczenie się 'na ocenę' i 'uwalnia od stresów'. 'Szkoła bez stresów' nie ma jednak za zadanie nauczenie jakiegokolwiek treści, przekazanie wiedzy, lecz 'rozwój świadomego „ja”, wydobywanie 'ukrytych zdolności każdego dziecka'" (por. ks. Andrzej Zwoliński "Tajemne niemoce", Biblioteczka KSM nr 14, Kraków 1994).

"Jak pisał R. Steiner: 'Nie chodzi o to, żeby podawać teoretyczne prawdy, lecz o to, żeby dusze nasze wzmocniły się i skrzepły do czynu'. To, co jest wyniesione ze szkoły, 'powinno w taki sposób żyć w naszych duszach, abyśmy w każdej chwili byli gotowi wziąć czynny udział w rozwoju świata'. Czy nie widać tu wyraźnych analogii z myśleniem socjalisty J. Deweya, którego pedagogikę włącza się dziś umiejętnie niemal we wszystkie programy nauczania i do szkół wszystkich szczebli? Wychowanie do dyspozycyjności, bez dostatecznego rozeznania w zawiłościach praw rządzących choćby życiem społecznym, prowadzi wprost do nowego zniewolenia, tym groźniejszego, że zbudowanego na delikatnym podkładzie życia duchowego", konkluduje ks. A. Zwoliński.

Wśród nurtów reformujących polską szkołę w latach 90. ubiegłego wieku znalazło się też miejsce dla metody pedagogicznej Celestyna **Freineta**, francuskiego **komunisty i anarchisty** z początku XX wieku, której głównymi elementami są wprowadzanie chaosu poznawczego, samooceny uczniów, odejście od autorytetu nauczyciela i nastawienie na swobodę ekspresji ucznia.

Antypedagogika, czyli zachęcanie dziecka, by szło "własną drogą", lekceważąc niebezpieczeństwa, szeroko rozpowszechniona jest w produkcji rozrywkowej przeznaczonej dla dzieci, począwszy od książek, filmów, zabawek, skończywszy na grach komputerowych. Można by rzec, że tak jak dawna kultura zajmowała się w dużej mierze ustawianiem przed dzieckiem znaków ostrzegawczych, ponieważ jej celem było uczynienie z dziecka osoby, która posługuje się rozumem, uczy się oceniać, potrafi utrzymać w ryzach swoje instynkty, kieruje się w życiu zasadą miłości bliźniego (temu służyło katechizowanie dzieci i wychowywanie w tzw. kindersztubie - kształtowaniu u dzieci dobrych manier), tak dzisiejsza tendencja kulturowa, manifestująca się przede wszystkim w kulturze masowej, stawia sobie za cel "wychowanie" całkowitego dzikusa, który nie liczy się z nikim i niczym, gardzi zakazami moralnymi i depreczuje wszystkich, którzy staną na drodze do realizacji jego zachcianek. Od własnego rozwoju, który połączony jest zawsze z wysiłkiem, z koniecznością kształtowania charakteru, a więc wymaga ćwiczeń woli, wyrzeczeń, wytrwałości w podnoszeniu się z upadków - a tego nasz dzikus się brzydzi - woli elektroniczne przyrządy, które po naciśnięciu pilota przeniosą go w "kraj szczęścia", za jedyny zaś cel życia godny jego wysiłku uważa bogactwo. A zatem ludzie, którzy przychodzą na świat - jak uważał Jean-Jacques Rousseau - są "dobrymi dzikusami" i powinni takimi pozostać, trzeba ich trzymać jak najdalej od tonującego tę pierwotną "dzikość" wpływu rodziny, środowiska kulturotwórczego i od prawdziwej oświaty. A jeżeli ktoś, dajmy na to dziecko z dobrej rodziny, już przyswoił sobie trochę kultury i nauczył się dobrych manier w rodzinnym domu, to należy uczynić wszystko, by go do stanu dzikusa, jako jedyne gwarantującego "pełny rozwój" i "pełne szczęście", utożsamiane w myśl filozofii hedonizmu z przyjemnością - doprowadzić. Przyjrzyjmy się paru przykładom.

### ***Zabawialnia***

"Ten kraj nie był podobny do żadnego innego kraju na świecie. Zaludniony był wyłącznie przez chłopców. Najstarsi mieli czternaście lat, najmłodszy - zaledwie osiem. Na ulicach radość, hałasy, piski, aż się w głowie mąciło! Wszędzie gromady smarkaczy: ci grają w kręgle, tamci w kostki, jedni bawią się piłką, inni jeżdżą na welocypedach albo na drewnianych konikach, ci bawią się w ciuciubabkę, a inni urządzają wyścigi, jedni przebrani za pajaców połykają płonące pakuły, a drudzy deklamują, ci śpiewają, tamci wywracają koziołki; jedni chodzą do góry nogami, a drudzy biegają za kółkiem, ten się przechadza w mundurze generała, w hełmie z liścia i z szablą tekturową, ten się śmieje, ten ryczy, ten woła, ten klaszcze w dłonie, ten gwizdże, ten gdać jak kura po zniesieniu jajka...".

W taki sposób Carlo Collodi, autor "Pinokia", przedstawia realia "Krainy Zabawek" (w adaptacjach filmowych, np. u Walta Disneya, zamienionej na "Wyspę Szczęścia").

Dziś miejsce takiej "totalnej" rozrywki i zabawy, w której nie ma umiaru, zostało niejako rozciągnięte na całą przestrzeń tworzonego z myślą o dzieciach przemysłu i edukacji. Zabawą ma być właściwie wszystko. Także jedzenie - o czym świadczą reklamy przeznaczone dla dzieci i co mogą poświadczyć tysiące mam udręczonych koniecznością wymyślania różnych atrakcji w czasie posiłku, by tylko porcja jedzenia znalazła się we właściwym miejscu; niepokojące jest to, że wiek, w którym zabawia się dzieci, by tylko jadły, niebezpiecznie się wydłuża. W coraz większej ilości świątyn urządza się - według wzorów protestanckich - specjalne miejsca, gdzie mniejsze i większe dzieci, w czasie gdy rodzice uczestniczą w Eucharystii, mogą oddać się bez przeszkód ulubionym zabawom. Same Msze św. dziecięce stają się niekiedy okazją do popisów kapłanów o charakterze aktorsko-cyrkowym, a towarzyszy im głośny śpiew, swobodne wypowiedzi, wyrwanie się do konkursów, klaskanie, pokazywanie rękami, kołysanie się, buczenie, odgrywanie scenek, słowem - repertuar rodem z teatryku lub cyrku. (W czasie jednej z Eucharystii celebrans, przekonany o swojej vis comica, położył się podczas kazania pod ołtarzem i, nałożywszy uprzednio na głowę śmieszna czapeczkę, a na nos karykaturalne różowe okulary, udawał rybę.)

Swoisty "dogmat" o tym, że dzieci muszą być zabawiane w każdej sytuacji, by mogły na czymś skupić uwagę, jest przyjmowany bezkrytycznie przez wielu rodziców i nauczycieli, a nawet nakazywany przez dyrekcje szkół, które na różnych kursach przeprowadzanych w duchu nowej ideologii zostały utwierdzone w przekonaniu, że jeżeli uczniowie nie uważają na lekcji czy zachowują się w sposób naganny, to jest to wina nauczyciela, który nie umie ich dobrze zabawiać. Dzieci, które są nieustannie zabawiane, którym dostarcza się wciąż nowych zabawek i nowego typu rozrywek, zamiast okazywać swoją wdzięczność, są coraz bardziej znudzone i domagają się na co dzień coraz bardziej wyszukanych, głośnych lub ekstremalnych atrakcji i rozrywek. Świadczy o tym chociażby sposób urządzenia tzw. centrów rozrywki dla dzieci - notabene do złudzenia przypominających cytowany wyżej opis "Wyspy Szczęścia" vel "Krainy Zabawek", choć przy wykorzystaniu najnowszych technologii, a wszystko najczęściej przy akompaniamencie ogłuszającej muzyki, w jaskrawych światłach, ostrych kolorach, by jeszcze bardziej pobudzić emocje; towarzyszy zaś tym szarpiącym psychikę przeżyciom wyszukany "bąbelkowy" posiłek. Ten styl rozrywki jest z pewnością jakąś odpowiedzią na tryb życia wielu dzieci, które gros czasu spędzają przy komputerze i telewizorze i potrzebują zabaw ruchowych. Znamienne jest jednak, że w tego typu "przybytkach rozrywki" nie ma miejsca na spokojną zabawę, a mnogość doznań i ich coraz większa ekstremalność oraz konieczność poświęcania na nie coraz większej ilości pieniędzy i czasu wskazują, jak zmieniają się oczekiwania pod presją reklamy i atmosfery w mediach. Niektórym rodzicom wydaje się być może, że i psychika najmłodszych została już ostatecznie "wysycona" zwykłą, "prostą" zabawą i wciąż potrzebuje nowości, wciąż pragnie "czegoś mocniejszego". A dobrze rozkręcony biznes potrafi w tej dziedzinie wszystko i nie ma żadnych hamulców. Na pewno zaś nie będzie się kierował względami zdrowego rozsądku, tak niezbędnego, by ocenić, czy ten typ rozrywki jest korzystny dla dziecka z punktu widzenia jego zdrowia psychicznego i fizycznego.

### *W szponach ojców - tyranów?*

Styl wychowania w czasach, gdy obowiązywały reguły klasycznej pedagogiki, zakładał oddzielenie zabawy od nauki - chyba że nauka dotyczyła dzieci małych, kilkuletnich, gdzie łączenie nauki i zabawy jest nieodzowne - i takie gospodarowanie rozkładem dnia, żeby nie było czasu na beczynność czy oddawanie się banalnym rozrywkom "dla zabicia czasu". Powszechnie upatrywano w beczynności, zbijaniu bąków źródło demoralizacji, wypaczania charakterów. Walczyły z nią wszystkie rodziny posiadające ambicje dobrego wychowania dzieci. Instrukcja opracowana przez **Stanisława Kostkę Zamoyskiego**, XII ordynata, jednego z najzamożniejszych i najbardziej kulturalnych ludzi swojej epoki, przeznaczona dla jego synów, zawierała następujący rozkład zajęć w ciągu dnia: dzieci należało budzić o godzinie wpół do

szóstej rano. "Twarz, uszy powinni umyć zimną wodą, przyniesioną poprzedniego dnia przez służącego do pokoju. Następnie umyć zęby (...), włosy uczesać i szczotką wyczyścić głowę. Ręce umyć mydłem, a potem natrzeć masłem migdałowym. Po ubraniu się, klęcząc, głośno zmówić pacierz. Potem powiedzieć sobie 'dzień dobry' jak przyjaciele i pozdrowić nauczyciela przełożonego. Następnie od godziny 6.00 do 7.00 rozmawiać, przebywając z nauczycielem, od godziny 7.00 do 8.00 zająć się pisaniem dla formowania ręki, od godziny 8.00 do 9.00 śniadanie, po nim spacer rekreacyjny, od godziny 10.00 do 11.00 nauka matematyki i języka polskiego, od godziny 11.00 do 12.00 czytanie przez chłopców Pisma Świętego, od 12.00 do 13.00 samodzielne tłumaczenie z języka francuskiego wskazanych przez nauczyciela tekstów, od 13.00 do 14.00 lekkie śniadanie i rekreacja, od 14.00 do 15.00 rekreacja i spacer, zajęcia z nauczycielem tańca, od godz. 15.00 do 16.00 obiad i rekreacja do 17.00, od godz. 17.00 do 18.00 co drugi dzień czytanie z matką po francusku oraz czytanie urywków z Pisma Św., uczenie się wiersza francuskiego na pamięć, od 18.00 do 19.00 tłumaczenie z łaciny na język niemiecki, od 19.00 do 20.00 lekcja niemieckiego, od 20.00 do 21.00 kolacja i rekreacja, o 21.00 kładzenie się spać, po zmówieniu klęcząc pacierza i powiedzeniu sobie 'dobranoc'".

Ten rozkład zajęć znajdował się na tablicy w pokoju lekcyjnym młodych Zamoyskich. "W pokoju do nauki każdy z chłopców miał swój stolik, na którym nie mogło być żadnej zabawki, lecz tylko rzeczy przeznaczone do nauki. Zabawki znajdowały się w miejscu do tego specjalnie przeznaczonym, porządnie ułożone, bo jak twierdził Stanisław K. Zamoyski: 'regularność i porządek, są to dwie rzeczy najpotrzebniejsze człowiekowi, które od najmłodszych lat w nałóg obrócić trzeba'" (por. Krystyna Wróbel-Lipowa, "Nauka domowa możnowładztwa i ziemiaństwa polskiego w XIX wieku", w: "Nauczanie domowe dzieci polskich od XVIII do XX wieku", Wydawnictwo Akademii Bydgoskiej im. Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2004). Instrukcja ojca dla synów - wśród nich był późniejszy gen. Władysław Zamoyski, wielki polski patriota działający na emigracji (1803-1866) - akcentowała również konieczność przestrzegania dyscypliny. "Najmniejsze nawet nieposłuszeństwo lub innego rodzaju złe zachowanie dziecka powinno być karane. Można mu było zatem nakazać klęczeć przez kwadrans lub dłużej, zabronić jeść kolacji, wytrącić 8 dukatów z pensji otrzymywanej od rodziców, a jeśli i to by nie przynosiło pożądanego skutku, nauczyciel - wychowawca powinien zawiadomić ojca celem surowszego ukarania" (por. Krystyna Wróbel-Lipowa, op. cit.).

Tu zauważyć należy, że dzisiejsza niezrozumiała awersja do kar - przede wszystkim w szkole, bo rodzice potrafią w tej materii zachować wiele zdrowego rozsądku - owocuje najmniej oczekiwanymi - z punktu deklarowania skutków przez pomysłodawców tej "beztroskowej" teorii - rezultatami w postaci coraz większej swobody w nieposłuszeństwie, psotach, a wreszcie i wybrykach chuligańskich, o czym przekonała się większość pedagogów narażonych wręcz, wskutek beztroskiego przyzwolenia na swawole wychowanków, na fizyczne zagrożenie z ich strony.

Warto przytoczyć przykład jeszcze jednej rodziny polskiej arystokracji, dziś pomawianej niejednokrotnie o "wielkopańskie zepsucie", w podobnym duchu wychowującej dzieci, mianowicie Teresy z Lubomirskich i Eustachego Kajetana Sapiehów. Eustachy Sapieha - syn (1916-2001) w swoich "Niedemokratycznych wspomnieniach" pisze o karach, jakie otrzymywał w rodzinnym domu za kłamstwo i niegrzeczne odezwanie się do starszej osoby, "oba grzechy oczywiste", jak zaznacza. Przypomina też, jak jego starszy brat Lew "kiedyś niegrzecznie odezwał się do stajennego i oberwał za to baty i to szpicrutą" (por. "Tak było. Niedemokratyczne wspomnienia Eustachego Sapiehy". Wydawnictwo Safari Poland 1999). Po tych dyscyplinujących zabiegach chłopcy raczej nie nastęrczali rodzicom utrapień. Z małymi wyjątkami. "Ostatnie lanie dostałem już po moich pierwszych wakacjach szkolnych za straszenie przyjeżdżających chłopów i interesantów w przebraniu, w balowej masce matki i wymachując wiatrówką, z okrzykiem 'stać, bo będę strzelał!' (por. "Tak było", op. cit.). Prawdziwe, nie przenośne, lanie "na goły tyłek", jak pisze Eustachy Sapieha, "wlepił mi osobiście ukochany

nauczyciel, Waclaw Iwanowski" w prywatnej szkole w Pszczynie. "Wychowanie domowe - zaznacza Eustachy Sapieha - nie mogło odbywać się bez użycia pasa. Były też inne kary, jak zamknięcie w pokoju przez cały dzień czy zakaz spaceru konnego albo pozbawienie leguminy. Były to kary za grzechy tak oczywiste i tak dla nas zrozumiałe, że nie wywoływały żadnych sprzeciwów moralnych czy psychologicznych. Pamiętam doskonale wszystkie moje 'wskóry', nigdy nie dawane w uniesieniu czy chwilowej złości, ale zapowiadane, czasem parę godzin wcześniej. Dziewczynki nigdy pasa nie dostawały, więc ich rzadkie kary były bardziej wyrafinowane. Izia za to, że była niegrzeczna dla Michała, musiała przy Mamci, przepraszając, pocałować go w rękę; biedny służący Michał po tej scenie upadł na kolana i rozplakał się" (por. "Tak było", op. cit.).

Czy autor wspomnień stał się w wyniku tej "ewidentnej przemocy fizycznej" dorosłych kaleką psychicznym, jak zapewne orzekłaby dziś znaczna część pedagogów, psychologów humanistycznych i terapeutów, wsparta urzędniczym dekretem? Należy wątpić. Skończył studia na prestiżowej uczelni i podchorążówkę. Brał bohaterski udział w kampanii wrześniowej, siedział w obozie jenieckim, a po wojnie, zmuszony do emigracji, przez blisko pięćdziesiąt lat, by uniknąć nędzy, żył życiem afrykańskiego pioniera: karczował kamienistą ziemię w Kenii, przecierał dziewicze szlaki na sawannach i w dżungli, własnymi rękami wznosił kolejne domy dla rodziny, wyposażał je własnoręcznie wykonanymi meblami - by nie kupować jedynie dostępnej indyjskiej tandety. Aby zarobić na skromne życie pod zwrotnikiem, kolejno: organizował i wyposażał tartak, skupował złom, wydobywał z ziemi rubiny, prowadził safari, zawodowo polował, a jednocześnie pomagał innym osiedleńcom, dbał o staranną edukację czworga dzieci. Słowem, w skrajnie trudnych warunkach wykuwał godziwą egzystencję i walczył o spokojny byt dla swojej szybko powiększającej się rodziny.

Fragmenty wykładu wygłoszonego na międzynarodowej konferencji pt. "Ochrona życia, zdrowia i godności dziecka" 29 maja br. na UKSW w Warszawie, zorganizowanej przez rzecznik praw dziecka dr Ewę Sowińską oraz ks. prof. Tadeusza Guza, dziekana Wydziału Zamiejscowego Nauk Prawnych i Ekonomicznych KUL w Tomaszowie Lubelskim.

Ewa Polak-Pałkiewicz

## Wyspa Szczęścia (2)



**"Na wszystkich placach urządzone były teatrzyki z płótna, od rana do wieczora przepelnione tłumem chłopców, a na murach domów można było wyczytać napisane węglem takie na przykład słowa: 'niech rzyją zabafki' (zamiast 'niech żyją zabawki'), 'nie chcemy hodzić do szkul!' (zamiast 'nie chcemy chodzić do szkół'), 'precz z rahónkami' (zamiast 'precz z rachunkami') i tym podobne kwiatki. Stanąwszy w mieście, Pinokio, Knot i inni chłopcy, którzy przybyli z okrągłutkim człowieczkiem, od razu rzucili się w wir zabaw i, co nietrudno sobie wyobrazić, w parę minut zaprzyjaźnili się ze wszystkimi. I któż się czuł szczęśliwszy od nich, któż był bardziej zadowolony?" (Carlo Collodi, "Pinokio").**

Dzisiejsi kontynuatorzy atrakcji rodem z Wyspy Szczęścia także nie zabraniają pisać na murach domów - nawet na tych świeżo odnowionych czy nowo wybudowanych - co ślina na język przyniesie oraz rysować dowolne, możliwie duże i jaskrawe kompozycje. Nawet organizują - jak dzieje się to w wielkich miastach amerykańskich - konkursy na najlepsze "graffiti", twierdząc, że przyczyniają się w ten sposób do rozwoju młodych talentów, a w ogóle to lepiej, żeby młodzież malowała mury, niż miałyby podpalać samochody.

Stanisław Kostka Zamoyski, prócz tego, że wymagający w narzucaniu obowiązków i reżimu dnia swoim synom, w ogóle "nie przewidywał bezczynności również podczas rekreacji. Uważał bowiem, iż w czasie wolnym, gdy synowie znudzą się bieganiem lub zabawami, powinni uczyć się na pamięć wierszy polskich, aby potem jak dobrze nauczą się, mogli pełnym głosem recytować je przed rodzicami. Dobrze byłoby także, aby w godzinach wolnych ćwiczyć dzieci w tych umiejętnościach, których się uczą. I tak przykładowo: z geografii wziąć atlas do ręki i kazać wyszukiwać położenie różnych miejscowości, rzek itp. Dawać różne przykłady z arytmetyki do wyliczenia, wzbudzając w chłopcach ciekawość. Pytać, co sami czytali, aby to opowiedzieć" (por. Krystyna Wróbel-Lipowa, "Nauka domowa możnowładztwa i ziemiaństwa polskiego w XIX wieku", w: "Nauczanie domowe dzieci polskich od XVIII do XX wieku". Wydawnictwo Akademii Bydgoskiej im. Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2004).

Jak wyglądał rozwój intelektualny chłopców przy takim zakresie obowiązków?

Dzięki programowi dnia wypełnionemu zajęciami synowie Stanisława Kostki Zamoyskiego już w wieku dzisiejszych gimnazjalistów byli w nauce samodzielni i twórczy. Gdy mieli po 13 lat, "obowiązywało ich nadal pisanie zwane 'ćwiczeniem się w formowaniu charakteru', tłumaczenie łaciny historycznej, czytanie tekstów łacińskich Juliusza Cezara oraz sztuka tłumaczenia i pisania listów. Kontynuowano naukę arytmetyki i geometrii z zastosowaniem w praktyce. Powtarzano historię starożytną, w szczególności grecką i rzymską, z uwzględnieniem geografii. Kontynuowano historię Polski na podstawie dzieł M. Kromera i późniejszych historyków



ojczystych. Odbывała się nauka historii naturalnej" (por. Krystyna Wróbel-Lipowa, op. cit.). Jako 16-latkowie mieli kondycję intelektualną studentów. Czytali mowy Cyncerona - oczywiście w oryginale - polskie mowy sejmowe, dawną "poezję bohaterską i dramatyczną". Uczyli się również prawa polskiego i międzynarodowego, zajmowali się historią powszechną, pogłębiali wiadomości z fizyki na temat statyki, mechaniki i optyki. Pożądane były lektury z literatury pięknej, czytano więc najwybitniejsze dzieła klasyki.

To wszystko było możliwe dzięki ojcowskiemu geniuszowi, który rozwijał umysły swych dzieci systematycznie i wszechstronnie, licząc każdą dosłownie minutę w ich kalendarzu zajęć, by nie była stracona. Musiał mieć ogromną świadomość, że okres dzieciństwa i wczesnej młodości jest najlepszym i jedynym czasem wyjątkowej chłonności, gdy pojąć można niemal wszystko - w potrzebnym wymiarze - i gdy charakter nabiera pożądanych cech, z punktu widzenia przyszłej roli ojca rodziny, przywódcy, gospodarza, żołnierza czy męża stanu; charakter się doskonali, o ile jest ćwiczony w dochodzeniu do cnót.

Z podobnego założenia, by nie uronić ani sekundy z cennego czasu, danego przez Boga, nie roztrwonić go na próżnych rozrywkach, nieistotnych, z punktu widzenia dobra własnego czy rodziny zajęciach, wychodziła Zofia Zamoyska z Czartoryskich (1780-1837), żona Stanisława Kostki. W liście do córki, Jadwigi, mającym charakter życiowego poradnika, w którym dzieliła się swoimi doświadczeniami i przemyśleniami, pisała: "Lubisz zajęcie, moja droga, niech ci to zamiłowanie pozostanie, jest to skarb nieoceniony, a jak próżnowanie, lenistwo, są źródłem wielu błędów, nie licząc straty czasu, co znajduję zbrodniczym. Bądź czynna, nie odkładaj na jutro, co dziś zrobić można..." (por. Zofia z Czartoryskich Zamoyska, "Rady dla córki", Oficyna Hieronim, przy współpracy Fundacji Servire Veritati, Wydawnictwa Instytut Edukacji Narodowej, Lublin 2002). Przestrzegała przed nadmiarem zbyt lekkich lektur (powinno ich być nie więcej niż dwie, trzy rocznie). I zalecała: "Kształć swoje talenty, wydoskonalaj je, wszędzie gdzie będziesz, zabierz stosunki z ludźmi utalentowanymi. Korzystaj z każdej sposobności, aby brać dobre lekcje literatury, muzyki, rysunku (por. Zofia z Czartoryskich Zamoyska, op. cit.). Znamienne są też wspomnienia Anny z Branickich Wolskiej, która wychowywała się przed wojną w pałacu w Wilanowie: "Rodzice wybudowali nam w parku mały domek zwany Dolinką. Chatka kryta była słomą. W izbie stały trzy krzesła, trzy miseczki, wisiały trzy ściereczki, a w klatkach mieszkały trzy króliki i trzy gołębie na stryszku. Wszystkiego po trzy dla trzech córek. Za tym domkiem był ogródek, a tam grządki, o które musiałyśmy same dbać, pieląc je i podlewając. W ten sposób przyzwyczajano nas do obowiązków. Tych obowiązków było wiele" (por. Marek Miller, "Arystokracja", Wydawnictwo Tenten, Warszawa 1998).

Zdrowy dydaktyzm, co do skrzętności gospodarowania czasem i unikania nadmiaru rozrywek, przewijał się w całej literaturze dziecięcej przed obowiązującą dziś linią poprawności politycznej w wychowaniu zapoczątkowaną przez Jeana Jacques'a Rousseau. Nurt ten owocował wspaniałymi arcydziełami, dziś najczęściej zapomnianymi - ostatnią chyba wielką powieścią tego nurtu była książka Rudyarda Kiplinga (laureata Nagrody Nobla za twórczość dla dzieci i młodzieży!) pt. "Kapitanowie zuchy", wydana w Polsce w 1970 roku. Poświęcona jest przemianie zepsutego pochlebstwami, bogactwem i brakiem zajęć chłopca, który przymusowo spędza kilka miesięcy na kutrze rybackim i staje się młodzieńcem zdolnym do mierzenia się z życiem, spragnionym wiedzy i rozumiejącym znaczenie hierarchii spraw, otwartym wobec ludzi, pogodnym, szanującym rodziców i zdolnym do prawdziwej przyjaźni.

### **Pożeglować w inne światy**

Dziś dominuje w tej dziedzinie nurt książek z gatunku fantasy, gdzie mnoży się wizje nierealnych, coraz bardziej ekscytujących, uwodzących wyobraźnię, często mrocznych i ociekających krwią i perwersją światów. I przygód - całkowicie spoza czasu i znanej nam przestrzeni, przenoszących dzieci w dziedzinę czyichś wizji narkotycznych. Jedną z tłumaczek tego typu literatury z języka niemieckiego wyjawiała mi, że gdy bierze taką książkę do ręki, już

od pierwszych zdań jest w stanie stwierdzić, która z nich napisana została pod wpływem środków halucynogennych. "Odrealnienie", jak mówi się popularnie, ukazanie umysłowi i zmysłom dziecka rzeczywistości całkowicie fikcyjnej, jako tej upragnionej, pociągającej, bo tam dzieją się te najbardziej niesamowite historie, wciąganie dziecka w stany rozkołysania rozbudzonej ponad miarę wyobraźni, po to, by rzeczywistość tu i teraz wydawała mu się nudna i nijaka, by nie chciało jej poznawać, zgłębiać i angażować się w nią, by marzyło o nierealnym świecie wizji i szaleńczych przygód - z rodzaju rojeń prawdziwych szaleńców, a nie uniesionych fantazją artystów - wydaje się założonym celem wielu autorów i wydawców książek. A przede wszystkim - filmów i gier komputerowych.

Klasyczna literatura dziecięca operowała konkretem. Był nim człowiek, inne dziecko, dorosły. Czasem zwierzę, pies, ptak lub kot, których przygody odzwierciedlały przygody małego człowieka w gęstwinie nowo poznawanej rzeczywistości, niczym w przepastnej, budzącej zaciekawienie, ale i strach, puszczy. Były też postacie symbolizujące dobro lub zło, wyraźnie od siebie oddzielone: dobra wróżka, zła czarownica. A więc był to świat realny, przedstawiony realistycznie lub za pomocą symboli albo poetyckich metafor. Przygotowujący do zderzenia z prawdziwymi problemami, prawdziwymi wyborami w dorosłym życiu, gdzie dobro i zło jest obok siebie i trzeba umieć je rozróżniać, by rozumieć rzeczywistość, by potrafić w sposób dojrzały wybierać dobro. Dziś zło w literaturze i filmach dla dzieci nader często ukrywa się pod maską dobra. Wiele postaci jest niejednoznacznych. Te złe mają cechy uwodzicieli i twarze urzekająco piękne, potrafią olśnić "mądrością". Kształty się rozplývają, kontury zacierają, nieznane, trudne do odcyfrowania symbole wprowadzają na grząski, chybotliwy, niepewny grunt.

Znamienne jest, że obcowanie z obrazem na ekranie, o wiele częściej niż ze słowem, angażuje zmysły, nie umysł, nie rodząc refleksji. Do tego dochodzi miałość treści - i odbiorca pozostaje sam na sam z uczuciem pustki, a zarazem - gdy korzysta w nadmiarze z migających obrazków - z uzależnieniem psychicznym od rytmu pulsujących dźwięków i barw. "Zaroilo się wokół mnie od dziwnych postaci - wspomina swoje pierwsze wtajemniczenia w sztukę samodzielnego czytania Jerzy Narbutt - pięknych, biednych, wesołych, złych, silnych, szpetnych, bogatych, wytwornych, okrutnych, smutnych, dobrych, pysznych, miłych, tchórzliwych, pokornych, rycerskich, nieśmiałych, gwałtownych. Jedne pokochałem z miejsca, do innych poczułem odrazę, pewne wzruszały mnie, pociągały, inne przerażały. Były takie, które podziwiałem - i takie, nad którymi się litowałem. A w sumie? Była to szkoła uczuć. Rzecz dzisiaj bardzo rzadka. Telewizja - złodziej czasu? Przede wszystkim - złodziej intymności" (por. Jerzy Narbutt, "Wyrzucony na brzeg życia. Wspomnienia", Unia, Katowice 2005).

### **W krainie zabiego skrzeku**

"Wyobraźcie sobie człowieczka, który był bardziej szeroki niż wąski, miękki i tłusty jak kulka masła, z twarzyczką jak pomarańcza, z wiecznie uśmiechniętą buziunią i łagodnym, pieszczotliwym głosem, takim jak głos kota łaszącego się do pani domu" (Carlo Collodi, "Pinokio").

W tradycyjnym wychowaniu wielką wagę przywiązywało się do rozróżnienia piękna i brzydoty - w myśl zaleceń klasycznych pedagogów, dziecko obcując z pięknem (dziełami sztuki, muzyką poważną, przyrodą), osiąga harmonijny rozwój, pełnię możliwości twórczych i pełny zakres zdrowia psychicznego; piękno ma też właściwości "lecnicze" w przypadku nerwic, stanów pobudzenia, skłonności do agresji. Dziś literatura i rozrywka dla dzieci często epatuje brzydotą. Popularne komiksy są szkołą złego smaku, przyzwyczajają do wulgarności i prostactwa. Ale nie tylko. To, co w naszej kulturze zawsze budziło obrzydzenie, co łączyło się z naturalistycznym przedstawieniem czynności fizjologicznych czy rozrodczych, np. świata zwierząt, dziś jest jednym z ulubionych motywów propozycji "artystycznych" dla dzieci. Jedna ze znajomych matek zaprezentowała mi niedawno kupioną na międzynarodowych targach książek pozycję o tytule zawierającym dosłowną nazwę odchodów ludzkich i zwierzęcych, przeznaczoną dla

dzieci. Platon pisał: "Szukajmy artystów, którzy czerpią natchnienie z dobra i piękna, aby tylko wspaniałe dzieła syciły dusze naszej młodzieży". Książeczki dla dzieci tego typu, jak wyżej opisana, zrodziła ideologia uznawania obrzydliwości za znakomity temat "sztuki". Granice dowolności zostały tu już po wielokroć przekroczone. Upadły jakiegokolwiek kanony i tabu. Dziś każdy, kto szokuje, może być uznany za "artystę". Perwersyjne zdjęcia dorosłych i dzieci zdobią światowe galerie, dając ponure świadectwo antychrześcijańskiej i antyludzkiej kultury. "Lecz nawet, gdy nasze pociechy nie są tak brutalnie wykorzystywane, zawsze stanowią cel przesłania mówiącego, że wszelkie normy przeszkadzają tylko w życiu; że wszystko jest dozwolone; że nic nie ma znaczącej wartości ani nie zasługuje na szacunek. Dokładnie to samo wkłada się do młodych głów w wielu szkolnych klasach i uniwersyteckich audytoriach. To samo powtarza się do znudzenia w tekstach heavymetalowych piosenek i w treści popularnych komiksów, które w niczym nie przypominają niewinnych historyjek z czasów naszej młodości. Mówi się tam, że nie ma rzeczy dobrych i złych, porządných i odrażających. Wszystko jest jednakowe, ma taką samą wartość i musi być tolerowane, a nawet popierane, w imię wolności", pisali Amerykanie James C. Dobson i Gary L. Bauer jeszcze w 1990 roku (por. James C. Dobson, Gary L. Bauer, "Dzieci w niebezpieczeństwie", Oficyna Wydawnicza Vocatio, Warszawa 1997). Dziś, 18 lat później, jesteśmy świadkami ogromnego przyspieszenia w niszczeniu tkanki kulturowej i moralnej, scalającej nasze społeczeństwo i pozwalającej czuć się bezpiecznie rodzinom. W Polsce ten nurt w propozycjach literatury dla najmłodszych zapoczątkował cykl powieści o Harrym Potterze. "Brzydkie zabawy", krojenie żab, wyrywanie skrzydeł muchom, przyrządzanie "upiornych" mikstur itp. zawsze w jakiś sposób fascynowało, zwłaszcza chłopców, na pewnym etapie ich rozwoju psychicznego. Uwodzenie dzieci tymi wątkami, rozbudzanie naturalnej, dziecięcej ciekawości, która jeszcze nie zna kulturowych i obyczajowych granic, po to, by prowadzić ich ku odrażającym obrazom i scenom, budzącym głęboki moralny sprzeciw, nawet u ludzi dorosłych, których wrażliwość nie jest tak wyostrowana, ku naturalistycznym opisom okrucieństwa, zadawania bólu i śmierci, rodzi pytania podstawowe: jaki jest tego cel? Co zamierza się osiągnąć tą propozycją skierowaną - przy niesłychanie nachalnej reklamie - można tu już mówić o gigantycznym przemyśle reklamowym zbudowanym dla jednej tylko książki - przy próbach narzucania tej pozycji także szkołom jako lektury - dla najmłodszych, najniewinniejszych?

Tu należy odesłać rodziców i wychowawców do publikacji znawcy zagadnienia ks. Aleksandra Posackiego, który na łamach "Naszego Dziennika" od lat analizuje zawartość cyklu p. Rowling, mylnie określanego jako książki "przygodowe", ukazując ich inicjacyjny charakter i idąc notabene za myślą - wówczas jeszcze kardynała - Josepha Ratzingera, który wyraźnie przestrzegał rodziny chrześcijańskie przed publikacją inicjującą w dziedzinę mroczną i niebezpieczną dla umysłu i dla duszy człowieka. Bagatelizowanie tego zjawiska, uspokajanie, że to wszystko dzieje się przecież oficjalnie, w radiu, telewizji, w "szacownych" wydawnictwach - nawiasem mówiąc, książkę tę prezentowano kilka lat temu na Targach Książki Katolickiej w Warszawie - a więc nie może tam być nic niewłaściwego, bo to tylko taka konwencja, gra, zabawa, "udawanie zła", "zwariowana moda" - kto by się oburzał na modę, etc. - jest poważnym grzechem zaniechania w stosunku do najmłodszych Polaków.

I wreszcie sprawa dziecięcej agresji. Niegdyś pilnie baczono, by ją ograniczać, umiejętnie wychowywać chłopców, by byli waleczni, dzielni, umieli się obchodzić z bronią. W dobrych domach pozwalano na bieganie z łukiem i z procą, ale pilnowano, by nikt z tego powodu nie ucierpiał. Eustachy Sapieha: "Od maleńkości wbijano nam w głowę, że nawet kijem nie wolno w nikogo wymierzyć, a co dopiero z jakiejś broni, nawet zabawkowej. Nasz ojciec był słusznie przekonany, że można nas już w bardzo młodocianym wieku puszczać bez opieki z flowerem w ręku. Zasada: 'jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści', była nam bardzo mocno utwierdzana w głowach. Jak dziś widzę te do cna nieokiełznane dzieci, godzinami studiujące przed telewizorem techniki zabijania ludzi i mierzące w każdego kopiami kałasznikowów, to wątroba się we mnie

przewraca" (por. "Tak było. Niedemokratyczne wspomnienia Eustachego Sapięhy". Wydawnictwo Safari Poland 1999).

Żeby dzieci poczuły w pełni "wyzwalającą radość" strzelania do bliźniego, zorganizowano na wielką skalę - w Polsce dostępne od ok. 10 lat - za odpowiednią odpłatnością, gry polegające na ostrzeliwaniu się pociskami z farbą, na specjalnie ukształtowanym terenie, ogrodzonym - tzw. paintball. Zabawa w wojnę, gdy widać czerwone plamy na twarzy kolegi, do którego się wymierzyło, to zabawa prawdziwie ekscytująca.

### **Ku bezpiecznej przyszłości**

"...a Gołąb widząc, że płaczę, powiedział mi: 'widziałem twojego tatusia, który budował sobie czółenko, żeby popłynąć na poszukiwanie ciebie' - a on mi powiedział: 'Chcesz pojechać do twojego tatusia?'. 'Jeszcze jak! Ale kto mnie tam zawiezie?' - a on powiedział: 'Ja cię zabiorę'. 'W jaki sposób?' - a on mi powiedział: 'Wsiądź na mnie jak na konia' - i tak lecieliśmy przez całą noc, a nazajutrz rano wszyscy rybacy, którzy patrzyli na morze, powiedzieli mi: 'Jest tam pewien biedny człowiek w łódce, który tonie - a ja z daleka cię poznałem, bo serce mi to mówiło...'" (Carlo Collodi, "Pinokio").

Czy można się dziwić, że coraz większa liczba rodziców w USA i w Europie, zamiast wysyłać dzieci do szkół, organizuje nauczanie domowe? Charakterystyczny jest tu przykład Stanów Zjednoczonych, w których zaczęła się rewolucja pedagogiczna. Walka amerykańskich rodziców o prawo do nauczania dzieci w domu - bo trzeba je było wywalczyć i w ciągu wielu lat tej batalii, trwającej od końca lat 70. ubiegłego wieku, nie brakowało represji ze strony urzędników i sądów wobec zdeterminowanych ojców i matek - jest w istocie walką z przejawami nadużyć instytucji publicznej, jaką jest szkoła indoktrynująca dzieci w duchu socjalizmu i liberalizmu. Jakie są przyczyny popularności nauczania domowego, które według niektórych szacunków obejmuje dziś ok. 2,6 miliona dzieci? Słaby poziom edukacji publicznej, przemoc w szkołach, obowiązkowa edukacja seksualna, niszcząca wrażliwość, zatrauwająca świadomość dzieci. A także areligijność szkół, czy wręcz wrogość wobec chrześcijaństwa, zbyt przywiązanie do teorii Darwina. Wreszcie "marnowanie czasu i rutyna systemu kontrolującego przyswajanie wiedzy nie są do zaakceptowania przez myślącą część amerykańskich rodziców" (Korespondencje Natalii i Mateusza Dueholm ze Stanów Zjednoczonych, "Najwyższy Czas!", w latach 2002-2007). "Typowa rodzina, w której praktykuje się nauczanie domowe, jest głęboko religijna. Większość rodziców mówi, że jednym z powodów ich decyzji o uczeniu w domu jest pragnienie nauczenia dzieci, że Jezus powinien być Panem ich życia" (por. Natalia i Mateusz Dueholm, op. cit.). W wielu domach rodzinnych i w niektórych najlepszych prywatnych szkołach obserwuje się powrót do nauczania klasycznego, gdzie jedno z ważniejszych miejsc zajmuje łacina. Dlaczego? Język angielski stał się językiem uniwersalnej komunikacji międzynarodowej, lecz na jakim poziomie? Czy umożliwia wymianę myśli, czy jest językiem refleksji? Już Platon zauważył, że "nie ma szans rozwoju nauka, która nie wychodzi poza potrzeby kupców". A George Orwell przestrzegał: "Nie widzi pan, że prawdziwy cel nowomowy to zwężenie granic myśli. (...) Każdego roku coraz mniej słów i przestrzeń myśli coraz bardziej się kurczy - rewolucja zostanie zakończona, kiedy język stanie się doskonały. Nowomowa jest anglosocem, a anglosoc jest nowomową - dodał z pewnym rodzajem mistycznej satysfakcji" (cyt. za Pascal Bernardin, "Machiavel nauczycielem. Manipulacje w szkolnictwie. Reformy czy plan zniszczenia?", Wydawnictwo Antyk Marcin Dybowski 1997).

Przedwojenni absolwenci gimnazjum klasycznego przodowali we wszystkich dziedzinach, byli prawdziwymi arystokratami ducha. Przypomniała o tym w swoim szkicu zamieszczonym parę lat temu na łamach "Naszego Dziennika" Joanna Maria Gondek. Dzięki znajomości łaciny można korzystać z bogactwa treści całej kultury klasycznej, z obszaru Grecji i Rzymu, wczesnego chrześcijaństwa. Umożliwia ono właściwe rozumienie i używanie pojęć, poznanie prawdziwego znaczenia słów takich jak "tolerancja" czy "integracja", zaznacza autorka. (Dziś

ich sens jest powszechnie wypaczony). "Nietrudno dostrzec konsekwencje pewnych przesunięć znaczeniowych, rozpoczynających się od czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej. (...) Wybitnie uporządkowany, przejrzysty charakter języków klasycznych jest odbiciem kultury intelektualnej Greków (tu narodziła się nauka) i Rzymian (tu narodziło się prawo). Wszystko, co składa się na język w jego warstwie składniowej, leksykalnej i etymologicznej, odznacza się tu logicznym uporządkowaniem i stanowi dobre ćwiczenie rozumowania, wnioskowania, argumentacji i stawiania pytań", przypomina autorka.

Łacina to wielka szkoła myślenia. Dlatego musiała zostać wyrzucona ze szkoły skrojonej na miarę wizji antyinteligentnego Deweya czy komunisty Freineta. Dziś jednak w coraz większej ilości miejsc inicjatywę edukacyjną przejmują rodzice. Chcą bronić własne dzieci, nie oszczędzając środków, prześcigając się w pomysłach. Świadomie lub nie przejmują pałeczkę po wielkich polskich arystokratkach, jak patriotyczny ród Zamoyskich, mający ogromne poczucie odpowiedzialności za powierzone im przez Boga potomstwo. Czy powrót łaciny oznacza nową "rewolucję"? Zapewne. Tym razem konserwatywną i nowoczesną zarazem. Tak twierdzi wybitny włoski pisarz Vittorio Messori: "Istnieje przepis na to, jak być nowoczesnym, wręcz awangardowym - w Kościele, ale też poza nim. Wystarczy mocno trzymać się Tradycji, tej prawdziwej, nie porzucać towarzystwa starożytnych i czekać. Wcześniej czy później historia to ponownie odkryje, a ty, dzień wcześniej uważany za żywy anachronizm i reakcjonistę, zostaniesz okrzyknięty prorokiem, który umiał daleko sięgnąć spojrzeniem... Nie ma nic bardziej nowoczesnego niż powrót do tego, co stare, zwłaszcza do tego, co najstarsze - do Nowego Testamentu" (por. Vittorio Messori, "Śledztwo w sprawie Opus Dei", wydawnictwo m, Warszawa, Kraków 2002).

**Ewa Polak-Palkiewicz**